

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (3)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Poetka Mirosława Szott i jej małżonek Janusz Łastowiecki po śmierci A. Tokarskiej „czyścili” kubeł na śmieci, do którego wyrzucano pamiątki, drobne sprzęty z jej mieszkania (pozostała do końca życia w kamienicy na pl. Słowiańskim). Dokumentuje tę czynność następujący utwór M. Szott:

„Lepszego (1981) Nowego Roku”. Wpatruję się w kartkę z Suwałk, którą dostała od młodego poety Kurzawy. Życzenia bardzo zwyczajne, brak postscriptum. A jednak zachowała to wśród pamiątek. Jedną trzecią kartki zajmuje opis zdjęcia szopki krakowskiej. Uwagę przyciąga mały znaczek z PRL z niejadalnym okrątkiem czerwonym. Niejadalnym jak każdy system.

Wróciłem do Zielonej Góry na początku lat 90. Oczywiście szybko trafiłem na Tokarską. Pracowała wówczas w Lubuskim Teatrze im. Leona Kruczkowskiego, funkcja jej zwała się – chyba – sekretarz literacki. W każdym razie przychodziła regularnie do „Gazety Nowej”, gdzie początkowo się zatrudniłem, i przynosiła zapowiedzi teatralne, repertuar na kolejny miesiąc, informacje. Zazwyczaj zatrzymywaliśmy się na korytarzu, żeby coś wspominać, o czymś pogadać. Były to jednak „rozmowy w biegu”. Pytałem o nowe wiersze, które chętnie chciałem drukować na łamach „Nowej”. Lecz tutaj akurat Tokarska robiła uniki. – Nie mam, nie piszę, nic nowego nie powstało... Widać było, iż woli omijać temat, jest w tym zakresie „wycofana”. I rzeczywiście, do końca życia (zmarła 28 października 2013 roku) wiele poezji nie napisała, na co zanosilo się już dużo wcześniej. W liście z 1980 roku zaznacza: „Tomiku mojego chyba nie będzie. Poznań go nie chce (w dotychczasowym kształcie), a ja nie mam chęci przerabiać. Może kiedyś... Miałam dwie niedobre recenzje i trochę mnie to podłamało”. Najważniejsza twórczość przypadła na okres ośmiu lat (1968-1976), kiedy wydała aż cztery zbiorki.

Potem jeszcze trzy, lecz były to po części składanki z wcześniejszych utworów, w tym jeden tom wydany został pośmiertnie.

W swoim archiwum w teczce „Anna Tokarska” – a przechowuję wszystkie pisma, szkice, jakie kiedykolwiek od kogokolwiek w życiu otrzymałem – zachowałem tylko trzy listy i dwie kartki. Wszystkie zaczynają się czule: „Gienecz- ku”. Pierwszy (14.05.79) dotyczy „naszego przyjaciela Jana Dębka”. W drugim (9.09.80) – najobszerniejszym, pisanym czerwonym piórem – chodzi o wydanie drukarni mojej pracy magisterskiej. Do czego ostatecznie nie doszło. Tokarska wykonała wtedy dla mnie sporą pracę, kołędując w tej materii między „Magnificencją (Jego)” – jak pisze, czyli rektorem Wąsickim, moim promotorem dr. Janem Muszyńskim i innymi osobami. List w niektórych fragmentach „jest trochę tłusty. Od wędzonej słoninki; wybaczyć ale znów w tym cholerycznym miasteczku wyłączyli wodę (...) więc nie mogę umyć rąk”. Akurat tłuszczu żadnego po latach nie widzę, natomiast znajduję rozczulające wręcz fragmenty. „Twoje wspaniałe pismo pokazałam Magnificencji. Wyraził się o nim zdecydowanie pozytywnie, że właśnie tak powinny wyglądać pisma regionalne”. Kawałek dalej czytamy: „Dr Jan M. bardzo Cię lubi i z ogromną tkliwością wspomina. W ogóle – zostało tu puście miejsce po niejakiem E. Kurzawie, wiesz?”. Widać poprosiłem panią Anię o różne inne przysługi, gdyż tłumaczy jeszcze, że „Jutro zadzwonię do »Nadodrza« o te zaświadczenia, bo zapomniałam o nich, wybaczyć starej sklerotycznej!”. Niecały tydzień później (15.IX.80) przyszedł kolejny list. „Bardzo Ci dziękuję za Wielki Purpurowy List. Pyszna sprawa, duża porcja radości. Ciepłej mi się zrobiło (...). Błąkam się obłąkańczo pomiędzy Zieloną Górą a Warszawą, nie wiem już, gdzie naprawdę mieszkam, chyba w nocnym pociągu”. W tym liście Tokarska informuje mnie, że zdecydowała się (jednak!) przepisać moją pracę magisterską, jako przyszłą książkę, za 10 zł od strony (proponowałem 20 zł). Musi tylko coś uzgodnić z rektorem i promotorem. Chyba zatem uczelnia miała być wydawcą mego „dzieła”, nie pamiętam. Zdaje się, że wydarzenia posierpniowe wszystkie wcześniejsze ustalenia wydawnicze obaliły, zapewne też odszedł rektor Wąsicki. Choć jeszcze w kartce z 15 IV 1981 Tokarska zaznacza, iż „maszynopis już w wydawnictwie”. W kartce świątecznej z XII 1980 do życzeń dodaje: „pisz dobre wiersze”. Czy dałem radę spełnić jej życzenie, czy też może nawet nadzieję?

Anna Tokarska, ur. 17 lutego 1936 w Łodzi – zmarła 28 października 2013 w Zielonej Górze. Poetka. Ukończyła polonistykę na WSP w Zielonej Górze, również na tej uczelni pracowała. Potem była związana z Lubuskim Teatrem im. L. Kruczkowskiego. Należała do ZLP (1976T981). Mieszkała w Zielonej Górze.

Andrzej K. Waśkiewicz

Po dwóch pierwszych naszych spotkaniach – przedstawionych już wcześniej – nie

miałem żadnych obiekcji, żeby w dalszym ciągu odwiedzać Andrzeja Waśkiewicza, gdyż jako dziennikarz studencki zacząłem bywać w redakcji, a z czasem współpracować z dwutygodnikiem „Nadodrze”. Przychodziłem zatem na ulicy Żeromskiego porozmawiać – tak, wówczas w redakcjach zawsze znalazła się ku temu okazja – a gdy w czasopiśmie uruchomiono dodatek akademicki pt. „Młoda Myśl”, znalazłem się w zespole opracowującym tę kolumnę (niekiedy dwie). Wizyty u sekretarza redakcji w celu przygotowania studenckiej wkładki przeplatały się ze spotkaniami z Waśkiewiczem. Gadałiliśmy nie tylko o wierszach. Kiedyś poprosił, żebym przeszedł się z piśmem do hotelu „Śródmiejskiego” i zarezerwował pokój dla (chyba służbowego) gościa. Stąd pamiętam do dziś, że AKW był w redakcji kierownikiem działu artystycznego (zresztą jednoosobowego), gdyż na owym piśmie przybił pieczętkę tej treści: „Kierownik działu artystycznego”. Janusz Koniusz (patrz hasło: J. Koniusz), siedzący (rzadko) przy biurku ustawionym obok, pełnił funkcję kierownika działu literackiego. Innym razem Andrzej zapytał mnie, czy wiem, czym się charakteryzują młodszy redaktorzy w piśmie kulturalnym. I wyjaśnił, że biegają po papierosy starszym redaktorem. Pobiegłem zatem do kiosku.

Kolejne pytanie przy innej okazji: – Czy jest pan silny?

Byliśmy wtedy na pan. – A bo co? – zapytałem. Chodziło o to, czy mógłbym pomóc wnieść (wwieźć) lodówkę na dziewiąte piętro wieżowca przy ul. Gwardii Ludowej, gdzie mieszkali Waśkiewiczowie. W ten sposób poznałem rodzinę: żonę Annę Sobecką, zwaną też Hanką, starszą córkę Olę, dwóch bliźniaków – Marcina i Adasia, a z czasem babcię, czyli matkę Andrzeja.

Zdaje się, że od tej lodówki i wspólnej rodzinnej kolacji zaczęły się moje częste wizyty w bloku przy Gwardii Ludowej. Wędrowałem tam pieszo z akademika przy pl. Słowiańskim. Każde spotkanie zacieśniało więzy między nami – czyli między rodziną a mną. Ledwie siałem w jednym z dwóch wielkich księżowskich foteli skórzanych, a zaraz przybiegały „Bąble”, czyli bliźniaki. Właściwie to się przyczłowiwały, czy jak to znać? „przyrzaczkowywały”? – gdyż niezupełnie pewnie jeszcze chodziły. Ale cel miały jeden – zawiązywane na haftki sznurowadła moich wysokich traperskich butów. Niekiedy nie mogłem się ruszyć po tych „operacjach” chłopców. Z czasem doszło do tego, że gdy zostawałem u Waśkiewiczów do wieczora, musiałem kłaść Bąble do łóżeczek, a wcześniej wyświetlić im na ścianie bajkę. Kiedyś, a był to czas kolejnego Festiwalu Piosenki Radzieckiej, Anka jako tłumaczka języka białoruskiego była z Andrzejem zaproszona na imprezę literacką wieczorno-nocną, może to był nawet wyjazd poza Zieloną Górę. Zostałem „wynajęty” jako nianiek do dzieci, czyli do samodzielnego wykonania wszystkich zabiegów przedsennych łącznie z kąpielą i kolacją. Oj, ciężko było... Razu pewnego Waśkiewiczowie chcieli wyjechać gdzieś niedaleko na późny (bodaj wrześniowy) wypoczynek.

cdn.